

## Wyprawa do Londynu, 27-29 stycznia 2017 roku

Celem wyprawy był udział w 7th UK Cold Water Championships, 28 stycznia 2017 roku; zawodach organizowanych co dwa lata przez South London Swimming Club (SLSC) na odkrytym basenie ośrodka sportowego Tooting Bec Lido w Londynie. Po zapoznaniu się z programem pływackich mistrzostw i festiwalu „morsów” w sezonie zimowym 2016/17, przedstawionym jesienią 2016 roku przez International Winter Swimming Association (IWSA) uznałem, że udział w londyńskich zawodach grupy *winter swimmers* z Polski powinien być oczywisty. Poczynając od 2013 roku członkowie klubu SLSC kilkakrotnie w licznych składach uczestniczyli w zawodach organizowanych na Wybrzeżu. Cztery lata temu na zawody do Londynu wybrało się trzech Polaków. Dwa lata temu „zameldowała” się grupa 20 Polaków (wraz ze mną przybyło 9 osób, z których 7 uczestniczyło bezpośrednio w zawodach). W grudniu 2016 roku Jackie i Margot, dwie wielce zasłużone zawodniczki londyńskiego klubu weszły do Bałtyku wraz z Sopotkim Klubem Morsów. Udział dużej grupy polskich pływaków w styczniowych zawodach byłby dowodem rosnącego zainteresowania tym ekstremalnym wyczynem, a także szlachetną rewizytą.

W wyjeździe uczestniczyli członkowie Sopotkiego Klubu Morsów, Gdyńskiego Klubu Morsów, a także Pomorskiej Szkoły Walki „Fighter”. Spośród 22 uczestników wyjazdu, w zawodach udział wzięło 11 osób. Pozostałe osoby identyfikowały się, jako „towarzyszące”.

Miałem dodatkowy i osobisty powód udziału w tych właśnie mistrzostwach. Poznawałem Londyn od połowy lat siedemdziesiątych. Mieszkałem w nim łącznie ponad 4 lata, przechodząc drogę od „pucybuta”, przez stypendystę British Council, eksperta w Międzynarodowej Organizacji Morskiej (IMO), do szefa polskiej placówki konsularnej. Towarzyszyła mi radość, że będę mógł oprowadzić koleżanki i kolegów po ulicach tego niezwykłego miasta.

### Przygotowania

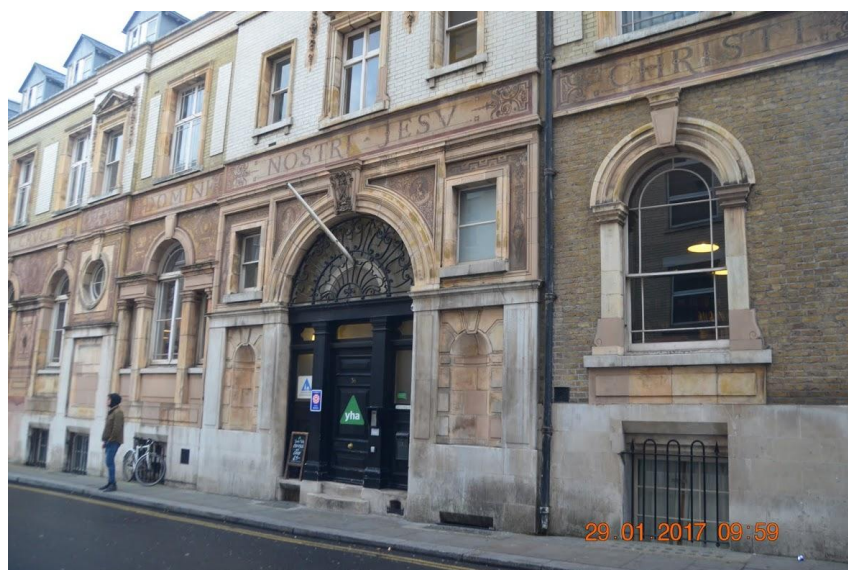
Znam profesjonalną sprawność organizatorów SLSC, a także wzrastającą popularność samych zawodów. Wiedziałem, że listę naszych „morsów” chętnych do wyjazdu, powinienem przekazać do Londynu z dużym wyprzedzeniem. Jak zwykle, przy wyjazdach na zawody *winter swimming*, których jestem inicjatorem, już 13 października, jako pierwszy, wykupiłem bilet lotniczy linią Ryanair, Gdańsk-Londyn Stansted i z powrotem. Po mnie bilet wykupiła natychmiast Ania z Gdyńskiego Klubu Morsów.

Informację o wyprawie do Londynu przekazałem 13 października członkom macierzystego Sopotkiego Klubu Morsów, a także kilku członkom Pomorskiej Szkoły Walki „Fighter”, z którymi w każdą sobotę „morsujemy” w pobliżu sopockiej „Koliby” (kilkoro z nich uczestniczyło w podobnym wyjeździe dwa lata temu). Do 16 października bilety lotnicze wykupiło już 14 osób. Po kilku dniach osiągnęliśmy liczbę 22. Magnesem była niewątpliwie możliwość zwiedzenia miasta i względnie tanie bilety lotnicze. Z drugiej strony, tak znaczna liczba uczestników wymagała szczegółowego przygotowania logistycznego, przede wszystkim tanich noclegów. O to w Londynie niełatwo. Skorzystałem oferty z Hostelu YHA, mieszczącego się przy 36 Carter Line w pobliżu katedry St. Paul’s. Tego samego, w którym zatrzymaliśmy się dwa lata temu. Liczba 22 osób wyczerpała limit posiadanych przez hostel łóżek na dwie wskazane doby. Rezygnacja jednych i dopisanie w zamian

następnych osób nie mogło naruszyć ostatecznej liczby gości zaakceptowanej przez hostel. Ponadto, w przypadku tak licznej grupy, kierownictwo hostelu zażądało wpłaty pełnej kwoty 1364 funtów brytyjskich, zamiast opłat wnoszonych indywidualnie po przybyciu. Dzięki sprawności organizacyjnej szefostwa naszego Klubu Morsów udało się zebrać i wpłacić ww. kwotę w wyznaczonym terminie do 30 listopada. Tym samym mieliśmy w garści bilety lotnicze oraz noclegi. Pozostało zgłoszenie/rejestracja zawodników w mistrzostwach, wykupienie biletów na autobus z londyńskiego lotniska do centrum miasta i z powrotem, wykupienie ubezpieczenia u niezawodnej Ewy z Allianz, wreszcie wykupienie karnetów „Oyster”, umożliwiających poruszanie się londyńskim metrem (czy można sobie wyobrazić każdorazowe kupowanie biletów w automacie przez 22 osoby?). Mimo wielu trudności, udało się wszystkie sprawy organizacyjne i finansowe domknąć we właściwym czasie. Kilka dni przed wylotem do Londynu byliśmy „zwarci i gotowi”. Do udziału w zawodach zgłosiło się 11 koleżanek i kolegów (w różnych kategoriach pływackich oraz grupach wiekowych), w tym 4 osoby do sztafety. Podkreślić należy, że cztery nasze koleżanki: Grażyna, Sławka, Jola, a także Zosia zdecydowały się na start w zawodach międzynarodowych *winter swimming* po raz pierwszy w życiu. Wykazały niemały hart ducha i ciała. Brawo!!

## 27 stycznia, piątek

O 6.00 rano przywitaliśmy się na gdańskim lotnisku im. Lecha Wałęsy. Większość z nas zmieściła bagaż w niewielkich torbach podróżnych lub plecakach. Ostatnie zakupy w strefie wolnościowej. Każdemu wręczyłem kartkę z wypisaną w j. angielskim informacją o celu podróży, terminie odlotu, miejscu zatrzymania się w Londynie. Takich informacji może oczekiwać *imigration officer* przy przekraczaniu brytyjskiej granicy. Tuż przed odlotem dowiaduję się o rezygnacji Reginy. Nie ma czasu na wyjaśnienia. Smutne, może uda się następnym razem. O 7.40 lądowanie na London Stansted. Nie mamy opóźnienia. Kolejka do odprawy długa i żmudna. Gorąco. Około 10.00 jesteśmy po odprawie. Mamy 40 minut do odjazdu autobusu. Dobrze, że posłuchałem rekomendacji London Express (minimum 1,5 godziny od przylotu do odjazdu). Ruszam na poszukiwanie przystanku. Pracowniczka London Express okazuje się Polką, obsługującą naszą linię do Liverpool Station. Po krótkim oczekiwaniu na świeżym powietrzu, ruszamy. Nikt nie kontroluje biletów; „jesteśmy” w komputerze. Lewostronny ruch przyciąga uwagę. Powoli wjeżdżamy do londyńskiej metropolii.



Nasza „siedziba” w Londynie, Hostel YHA przy 36 Carter Lane.

Wysiadamy na Liverpool Station. Ruszamy do metra. Czy „ojsterki” nie okażą się zawodne? Wszystko OK. Wysiadamy na stacji St. Paul’s. Dobrze, że mamy ze sobą lekki bagaż. Po 10 minutach wchodzimy do hostelu. Jest 12.00. Przygotowano dopiero jeden pokój sześciuosobowy, w którym zostawiamy bagaże. Zabieramy niezbędne rzeczy, gdyż powrót przewiduję na około 22.00. Idziemy do metra. Po kilku przesiadkach, jesteśmy na stacji South Kensington. Dobrze, że obaj z Wiesiem mamy czerwone kurtki, kupione na zawody do Chin. Ja prowadzę grupę niezliczonymi podziemnymi korytarzami metra. Wiesio ją zamyka.

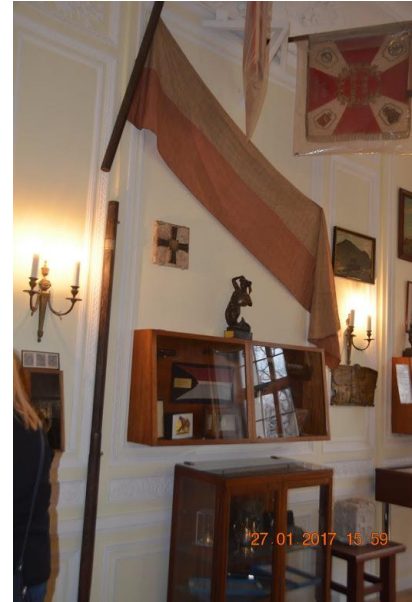


W londyńskim metrze.

Ze stacji South Kensington kierujemy się na Exhibition Road. Zwracam uwagę na lewostronny ruch, gdyż na przejściach dla pieszych, głowy odwracają się bezwiednie w przeciwnym kierunku. Wskazuję na Muzeum Victoria&Albert, Muzeum Historii Naturalnej, Muzeum Techniki. Każde z nich oznacza dzień zwiedzania. Mijamy 55 Exhibition Rd, siedzibę „Ogniska Polskiego”. Zaplanowałem na dzisiejsze popołudnie spacer polskimi śladami w Londynie. Zaczynamy od Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego przy 20 Prince’s Gate. Jest 14.00, muzeum jest otwarte do 16.00. Czeka nas niespodzianka. Osobą oprowadzającą będzie wieloletnia przewodniczka Pani Waleria Sawicka. Gdy naciskam dzwonek, otwiera drzwi. Rzucamy się sobie w ramiona. Nie widzieliśmy się kilkanaście lat. Jest ostatnią żyjącą osobą, pamiętającą moich dziadków „po mieczu” oraz mego tatę z rodzeństwem. Historia naszego poznania jest na tyle niezwykła, że poświęcę jej kilka zdań. Gdy przebywam na placówce w Londynie (1996-98) otrzymuję list z pytaniem o moją rodzinę. Okazuje się, że ojciec Pani Walerii i mój dziadek, nauczyciele, pracowali razem w szkole w Oszmianie, potem w Wilnie, utrzymując bliskie kontakty towarzyskie. Po wkroczeniu Armii Czerwonej na Wileńszczyznę, tuż przed wywózką na Syberię, kilkunastoletnia Waleria ma kilka chwil na spakowanie walizki. Z albumu wrywa rodzinne fotografie. Są na niej rodzice dziewczyny, jest ona ... ale także moja babcia Julia, mój tata Tadeusz, stryj Jerzy i stryjenka Jadwiga. Fotografie wędrują przez Syberię, z armią gen. Andersa, aż do Londynu. Po wielu latach ich kopie trafiają do mego domowego archiwum. Czyż trzeba bardziej wymownego przykładu tułających losów naszej wojennej londyńskiej emigracji i wychodźstwa?

Pani Waleria żwawym krokiem (ma ponad 90 lat) oprowadza grupę po muzealnych pomieszczeniach rozlokowanych na trzech piętrach. Nie sposób wymienić zgromadzonych pamiątek. Uwagę zwraca m.in. wielkie biurko gen. W. Sikorskiego, biurko gen. W. Andersa, za którym na chwilę siada Wiesio. Pstryk, pstryk. Szybko mijają dwie godziny wykładu o historii Polski, opowiedzianej ze swadą przez świadka wydarzeń. Na jednej ze ścian wisi portret Elżbiety, Królowej Matki, namalowany przez

sopociankę Basię Kaczmarowską-Hamilton, absolwentkę gdańskiej PWSSP, naszą przyjaciółkę od lat. Niespodziewanie jestem poproszony do telefonu. Dzwonią z „Ogniska Polskiego”, potwierdzając termin naszego przyścia. Zgodnie z planem będziemy tam o 16.30. Czas na pożegnania. Droga Pani Walerio - kiedy się znów spotkamy?



Rajmund, Zosia i ja wraz z p. Walerią Sawicką. Tę flagę zatknięto na szczycie Monte Cassino. Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego.



Z zapartym tchem słuchamy opowieści Pani Walerii Sawickiej. Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego.



W jednej z gablotek - „Świadectwo Dojrzałości” p. Walerii Sawickiej. Wyjaśniam, że pomnik „Misia Wojtka” znajdzie się być może na sopockim Monciaku. Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego.

Wchodzimy do „Ogniska Polskiego”, centrum życia wojennej emigracji. Tu żołnierze-tułacze spędzali wolny czas, tu słuchali koncertów, oglądali sztuki teatralne, snuli plany powrotu do „wolnej Polski”, tu się kochali, rozstawali, grali w karty. Oczom nie wierzę - na powitanie wychodzi Małgosia Belhaven-Stenton. Cóż za niespodzianka! Nie widzieliśmy się od kilkunastu lat. Pieczę nad grupą przejmuje urocza Pani Anna Mochlińska, która przybliży „dawny i współczesny polski Londyn” w najlepszym wydaniu. Wszyscy są pod wrażeniem jej wiedzy i urody. A ja siadam obok Małgosi w hallu. Rozmawiamy tak, jakbyśmy nie widzieli się od kilku dni. Głęboka zbieżność myśli, opinii o tym, co w kraju, co w Wielkiej Brytanii. Wraz z mężem Robinem spędzili kilkanaście dni w Krakowie podczas Świąt Bożego Narodzenia. Robin, szkocki arystokrata jest wielkim admiratorem Polski. Zostało tyle spraw do omówienia, a czas nagli. O 17.30 wychodzimy. Na ulicy każdy z grupy ma coś do powiedzenia. Tak działa „magia” miejsca, które z prawdziwym żalem opuściliśmy.



Z Małgosią Belhaven-Stenton w „Ognisku Polskim”. Londyn, 27 stycznia 2017r.

W drodze powrotnej do stacji South Kensington wchodzimy na kilka chwil do barokowej świątyni Brompton Oratory. Dzień przed przyjazdem, ks. Bartosz, prowadzący kaplicę boczną tzw. Little Brompton Oratory, który z radością przyjął zaproszenie do oprowadzenia grupy po obu sakralnych obiektach, zawiadomił mnie, że musi niespodziewanie odprawić w zastępstwie mszę św. w jednej z parafii południowego Londynu. Krótko informuję grupę o roli Brompton Oratory dla polskiego środowiska emigracyjnego, a także o znaczeniu Little Brompton Oratory - kaplicy duszpasterstwa

akademickiego (siedziby polskiej parafii pw. św. Wojciecha), w której kilkakrotnie uczestniczyłem w wielkopostnych rekolekcjach. Wspominam o strukturze kościoła anglikańskiego i rzymskokatolickiego, a także o Polskiej Misji Katolickiej w Anglii i Walii oraz o licznych „polskich” parafiach w Londynie.

Z przystanku metra Ravenscourt Park po kilku minutach jesteśmy w Polskim Ośrodku Społeczno-Kulturalnym (POSK). Odnowiony hall i recepcja prezentują się elegancko. W restauracji „Łowiczanka” czekają zarezerwowane stoliki na zasłużony obiad i wypoczynek. Za pół godziny rozpocznie się przyjmowanie zamówień. Czas na chwilę relaksu, toaletę, piwo. Przed przyjazdem umówiłem się w POSK-u z Kasią Bzowską, związaną przez wiele lat z „Dziennikiem Polskim i Dziennikiem Żołnierza”, członkiem zarządu Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Od 1980 roku w Londynie. Bliska koleżanka moja i Doroty. Jesteśmy właśnie w domu w trakcie czytania książki Kasi pt. „Mieszkam na Wyspie”. Kasia zgodziła się na oprowadzenie grupy po POSK-u. Dziękuję Pani Joannie Młodzinskiej, prezes POSKu, za umożliwienie zwiedzenia obiektu. Nie ma czasu na piwo i relaks; grupa wyrusza na półgodzinny spacer. Pozostałem w „Łowiczance” i na chwilę przymknąłem oczy. Gdy je otworzyłem stała przede mną Janka Kwiatkowska, we własnej osobie. Cóż to były za uściski. Dla mnie, dla Doroty i córek, szczególnie dla Magdy, Janka pozostaje członkiem rodziny. Nie widząc się od lat, utrzymujemy kontakt telefoniczny. Krąży korespondencja. Jankę w Londynie znają wszyscy. I vice versa, Janka wie o Londynie wszystko. Rozmowa jest chaotyczna, ale czy może być inna, gdy tyle pytań ciśnie się na usta: co w kraju, co ze zdrowiem, jak czuje się Pani Prezydentowa Karolina Kaczorowska? Co z Anią, żoną Tadeusza – polskiego lotnika, przebywającą od kilku lat w polskim ośrodku Penhros Care Home w Walii. Podobno źle. Co u innych znajomych? Co w ambasadzie po zmianach personalnych w ostatnich miesiącach? Itd. itd. Nie wiem, kiedy zjadłem zupę, czy i kiedy zjadłem drugie danie. Minęły blisko dwie godziny. Umawiam się z Janką na spotkanie w Londynie we wrześniu. Uściski dla córki Dorotki i wnuczki Gaby. Sprawnie rozliczamy obiad. Kasia wpadnie jutro na Tooting Bec Lido. Na pytanie, czy mamy jeszcze siły na spacer po Oxford Str. i Regent Str., aż do Piccadilly Circus, słyszę głośne TAAK! Brawo!



Obiad w „Łowiczance”. Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny w Londynie.



Spotkanie z Kasią i z Janką w „Łowiczanca”. Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny w Londynie.

Ruszamy na przystanek metra. Popełniam błąd stając na niewłaściwym peronie. Tracimy 10 minut. Wsiadamy na stacji Bond Street. Spacer „London by Night” głównymi handlowymi ulicami robi wrażenie. Na ulicach w piątkowy wieczór wciąż tłumy. Na Oxford Circus skręcamy w Regent Street. Neony, słynne domy towarowe z ogromnymi wystawami. Czerwone budki telefoniczne, dwupoziomowe czerwone autobusy, czarne pękate taksówki – jesteśmy w samym sercu Londynu. Zmęczeni docieramy na Piccadilly Circus. Zatrzymujemy się na moment przy fontannie z figurką Erosa na szczycie. Metrem wracamy do hostelu. Jest 21.30. Rozdzielamy szybko pokoje. Jakie kryterium? Niech pary mają pierwszeństwo. Pokoje cztero- i sześciuosobowe, łóżka piętrowe. Okazuje się, że brakuje dwóch miejsc noclegowych dla Rajmunda i Wiesia. Schodzę do recepcji. Wiedzą, że popełnili błąd, za który przepraszają. Rajmund nocuje sam w innym pokoju. Wiesio nocuje z grupą „Fighters”. Łóżko wysuwane, mało wygodne. Dzięki Wiesiu za poświecenie. Jutro nocleg będzie prawidłowy. Pozostało mi łóżko na górze, w pokoju z pięcioma koleżankami. Niespodziewany wybór jest moją wielką moją wygraną! Po chwili pojawia się kiełbaska, bułeczki, ciasteczka, wódeczka. Można by tak „balować” do rana. Rozsądek nakazuje wdrapać się na łóżko, zgasić światło i lulu. Pobudka wczesna, bo o 5.45.



„Błogosławiony” między niewiastami w naszym 6-osobowym pokoju w londyńskim hostelu.

## Sobota, 28 stycznia

O 6.30 wychodzimy, wyposażeni w suchy prowiant zamiast śniadania. Przesiadamy się na Northern Line, przejeżdżamy pod Tamizą i wysiadamy na stacji Tooting Bec. Poranek chłodny i mokry. Stara dzielnica z typowymi jednopiętrowymi domkami. Nie sprawdziłem ulicy, którą należy maszerować. Mój błąd. Napotkany przechodzień, Polak, wskazuje ulicę. Idziemy kilka minut. Czuję, że kierunek jest niewłaściwy. Przed domem widzimy kobietę. Też okaże się Polką. Nie umie wskazać trasy. Od czego są telefony komórkowe z GPS. Rafał z Wiesiem ustawiają mapkę tej części Londynu. Korygujemy trasę. Mija nas kolejny mieszkaniec, który również okazuje się Polakiem. Zmierzamy w stronę tego samego centrum sportowego. Jak dobrze, że wyszliśmy z hotelu z niewielkim zapasem czasu. Przekraczamy bramę ośrodka. W namiocie rejestrujemy obecność. Każdy z pływających otrzymuje kartę uczestnictwa do zawieszenia na szyi, z wypisanym numerem wyścigu, czasem ustawienia się przy bramce na basen, czasem startu, kategorią wieku, wybranym stylem pływackim, numerem toru. Jeżeli startuje się w kilku wyścigach otrzymuje się więcej kart. Wszyscy wiedzą, co, jak i kiedy. Pomyłka wykluczona. Londyńskie zawody imponują liczbą wolontariuszy, o ściśle przypisanych zadaniach. Od wejścia na odgrodzony od widzów teren basenu, każda grupa przekazywana jest z rąk do rąk między wolontariuszami, wskazującymi miejsce rozebrania się, ponumerowane fotele - zgodnie z wyznaczonym każdemu zawodnikowi numerem toru. Na koniec podają spokojnym głosem instrukcję, co np. oznacza w stylu klasycznym „head up”, co jest dozwolone, co jest karane przez sędziów. Pełna jasność i przejrzystość reguł. Pewnym mankamentem jest ręczne mierzenie czasów stoperem, zamiast tablic elektronicznych. Zarejestrowane wyniki wzbudzą zaskoczenie kilkorga z nas. Cóż, takie zasady.



Zajęliśmy dobre miejsca na trybunie nad basenem Tooting Bec Lido.

Zachęcam grupę, liczącą sporo „osób towarzyszących” do zajęcia - póki są wolne - miejsc na trybunie ponad basenem, co ułatwi obserwację zmagania zawodników. Gdy pojawi się słońce, czujemy je na twarzach. Witam się z moimi londyńskimi znajomymi zawodnikami. Nie sposób nie zauważyć



potężnej sylwetki Johna, wiceprezesa IWSA. Tydzień temu pożegnaliśmy się w Pekinie słowami „do zobaczenia w Londynie”. Po chwili ściskam Alice, z którą odbyliśmy kilka pływackich podróży. Żegnaliśmy się w Chinach tak samo „do zobaczenia w Londynie”. Cóż to za sympatyczna i mądra dziewczyna. Należy podkreślić, że funkcje wolontariuszy pełnią także zawodnicy, jak choćby Alice. Widzę Jackie z mężem oraz Margot. Obu nie widziałem od czasu wspólnego pływania w grudniu z Sopockim Klubem Morsów. Ściskam Margy, główną organizatorkę dzisiejszych mistrzostw. Kilkakrotnie przybywała na zawody do Polski z liczną grupą zawodników SLSC. Nie czas na rozmowę, jest bardzo zajęta ostatnimi przygotowaniem. Za chwilę oficjalne otwarcie. W grupie amerykańskiej stoi Jaimie, również towarzyszka ostatniej wyprawy do Chin. Znana pływaczka, w 2016 roku zdobyła międzynarodową nagrodę za największy pływacki wyczyn roku - kilkadziesiąt kilometrów przez Jezioro Genewskie w półtorej doby. Bez odpoczynku. Witam inne brytyjskie koleżanki i kolegów.



Z Margot, Jackie i jej wnukiem. Wiesio z grupą znajomych zawodników z USA; w czerwonej czapeczce Jaimie.

Pierwsze starty. Zawody w Londynie są wielkim świętem *winter swimming*. Obok zawodników walczących o medalowe miejsca, uczestniczą pływacy w wymyślnych strojach, głównie czepkach. Organizowana jest parada pań i panów, połączona z konkursem na najbardziej oryginalny strój kąpielowy. Po zakończeniu wyścigu zawodnicy wskakują do jednej z dwóch beczek z ciepłą wodą. Wspólne zdjęcia, flagi klubowe, radość ze wspólnej pasji, jaką jest zimowe pływanie.

Każdy na swój sposób przeżywa zbliżający się start. Najbardziej podekscytowane są koleżanki, które po raz pierwszy uczestniczą, jako zawodniczki, w takich międzynarodowych zawodach. Pokrzepiamy dobrym słowem Sławkę, Grażynę, Jolę. Zamiast Małgosi wystartuje nieustraszona Zosia. Skupienie i niepokój widać na twarzach Zuzi i Ani. Trenowały zawzięcie, pływając w Bałtyku niemal codziennie. Cóż, prawa wieku są nieubłagane. Im grupa starsza, tym mniej zawodników. Nie sposób zdobyć medal w młodszych grupach wiekowych, gdy obok amatorów startują profesjonaliści. Oni nie płyną, oni fruną po wodzie. W mojej grupie wiekowej (70+) łatwiej o medal. Startuje nas zaledwie kilku, stylem dowolnym i klasycznym. Atmosferę zawodów niech oddadzą zamieszczone fotografie. Doping naszych zawodników jest najsilniejszy, wzmacniany wuwuzelą Rafała.



Ania na starcie (czepek biało-czerwony)...i w trakcie wyścigu.



Wiesio przed startem...i po zakończeniu wyścigu.



Za chwilę start Sławki. Radość po ukończeniu wyścigu.



Zosia dziarsko pokonuje basen. „Dystans ukończyłam” – oznajmia z radością Zuzia.

W południe dołącza do nas Kasia. Mamy czas na dłuższą rozmowę. Może zorganizujemy promocję mojej książki w Londynie. Sprawa do przemyślenia. Kasia zamierza napisać artykuł nt dzisiejszych zawodów z udziałem tak licznej ekipy polskiej. Przekazuję podstawowe informacje. Z wielką radością witam się z Michael'em, urodzonym w Wielkiej Brytanii, startującym w grupie wiekowej tuż przede mną. Znamy się z czasów mojej służby konsularnej w Londynie. Dwa lata temu pływaliliśmy tu razem, na Tooting Bec Lido. Także on gromadzi materiał do artykułu nt dzisiejszej imprezy z udziałem polskiej grupy. Myślę, że właśnie Michael zainicjował niezapomniane wydarzenie z naszym udziałem następnego dnia. O tym za chwilę.



Jarek promuje Pomorską Szkołę Walki „Fighter”. Promocję - z gorącej beczki - wspiera Rafał.



Grażyna i Sławka w gorącej beczce, z gorącą herbatą.

Każdy zawodnik otrzymuje kolorowy dyplom uczestnictwa w mistrzostwach z dowcipnym napisem „I Was Bold In The Cold”. Startuję w konkurencjach 30 m stylem klasycznym, następnie 30 m dowolnym. Z publikowanych list wynika, że zdobyłem dwa brązowe medale. Ze względu na pogłębiającą się chorobę rezygnuję z udziału w sztafecie. Zamiast mnie - obok Ani, Jarka i szybkiego Rafała - wystartuje Wiesio. Zgłaszam zmianę w centrum organizacyjnym. Po krótkim zastanowieniu wyrażają zgodę.



Ania, Jola, ja i Michael. „Niniejszym melduję - zadanie wykonałem”.

Powoli zachodzi słońce. Rozdawane są medale. Margy ściska mnie z radością, gratulując uzyskanych wyników. Przede mną medale zdobyli dwaj rówieśnicy. Szkota znam z wcześniejszych zawodów. Stojący obok mnie Robin, zdobywca srebrnego medalu okaże się prezesem Serpentine Swimming Club w Hyde Parku. Gdy stoimy na podium niespodziewanie proponuje mi wspólne popywanie jutro, w niedzielę, u siebie w klubie. Wejście do wody o 9.00 rano. Na karteczce wpisuje swój numer telefonu gdybyśmy zrezygnowali. Po chwili podchodzi do mnie Michael, inicjator pomysłu i członek tego prestiżowego klubu. Ustala szczegóły. Propozycja znakomita, ale jak zmieścić ją w programie? Do Hyde Parku wybiorą się nieliczni. Co z pozostałymi, czy możemy się rozdzielić? Gdzie i kiedy się spotkamy? Nasza grupa musi opuścić hostel przed 8.00; co ze śniadaniem zgłoszonym w recepcji na 8.00?



Krzysztof na starcie ...i po ukończeniu wyścigu.

Ostatnie fotografie przy basenie. Wolnym krokiem, zmęczeni, pełni wrażeń i „nasłonecznieni” powracamy do metra. Po godzinie w hostelu. Proponuję zmianę planu wieczornego spaceru. Jest późno, warto wrócić wcześniej na nocleg. Po krótkim odpoczynku przejdziemy Millennium Bridge i wzdłuż południowego brzegu Tamizy pomaszujemy do Tower Bridge. Obejrzymy królewską twierdzę Tower, powrócimy skrajem dzielnicy bankowej do hostelu. W drogę. Okazuje się, że wczoraj Rafał z Donatą, a dzisiaj samodzielnie Grażyna z Januszem, zdążyli już poznać ten uroczy zakątek Londynu. Brawo.



Seniorzy obwieszeni medalami.



Chwila na posiłek i odpoczynek: Jarek ze Sławką, Rafał z Magdą i Donata z Rafałem.



Wspólna fotografia na koniec zawodów 7th UK Cold Water Championships w Londynie.

Jestem pod wrażeniem rewitalizacji południowej strony Tamizy. W dawnych czasach był to rejon „zapyziały” i rzadko odwiedzany. Deptak, miejsca widokowe, liczne restauracje, wreszcie ogromny wieżowiec The Shard (tzn odłamek), wysokości 309,6 m. W 2012 r. był najwyższym budynkiem w Europie. Może podczas następnej wizyty wjedziemy na 65 piętro, gdzie znajduje się taras widokowy. Pstrykamy fotografie przechodząc przez Tower Bridge. Obiektywy aparatów kierują się na Tower. Kram z „fish and chips” już nieczynny. Wskazuję na stację Tower Hill. Nad nią, przed laty, mieściła się City of London Polytechnic, School of Navigation, uczelnia, w której przebywałem na 10-miesięcznym stypendium British Council (1978/79). Tuż przed przyjazdem do Londynu otrzymałem wiadomość, że mój były ówczesny przełożony prof. kpt ż. w. John Kemp zmarł kilka dni temu. Wspominam go, jako szlachetnego człowieka; utrzymywałem z nim przez lata stały kontakt. Gdy uczestniczył w konferencji w Wyższej Szkole Morskiej w Gdyni, oprowadziłem go po Gdańsku. Ze szczytu Wieżycy spojrział na Kaszuby. Ulicą Cheapside wracamy do hostelu. Przed pożegnaniem się informuję o jutrzejszej możliwości popływania w Hyde Parku. Zgłaszają się Ania, Grażyna, Zuzia, Zosia, Wiesio. Super. Pozostała część grupy spotka się z nami przy stacji Westminster około 10.00 rano. Małgosia, znająca Londyn, przejmie pieczę nad przejazdem metrem. Dzięki. W recepcji udaje się dla naszej szóstki przyspieszyć śniadanie na 7.45. Zamiast do łóżka, odwiedzam jeszcze pokój Jarka i Sławki oraz Rafała i Magdy. Na stole pyszna dziczyzna – dzieło Rafała. Po szklaneczce whisky na dobranoc. Po powrocie do pokoju trudno od razu zasnąć. Rozmowy, jedzenie, odrobina alkoholu. Dzielimy się spostrzeżeniami z kończącego się dnia. Musimy spakować bagaże, by zostawić je w magazynie i opróżnić pokój. Jeszcze przygotowanie przyborów pływackich na jutrzejszy ranek.



Wraz z Jolą i zdobytymi medalami w „naszym” hostelu.

### Niedziela, 29 stycznia

Pobudka o 7.00. Bagaże znosimy do magazynu w piwnicy. Szybkie *English breakfast* i w drogę. Wsiadamy na stacji Knightsbridge i po chwili jesteśmy w Hyde Parku. W pobliżu szykują się do startu biegacze. Pytam o położenie siedziby Serpentine Swimming Club. Po 10 minutach jesteśmy na miejscu. Witamy się z Robinem, Michaeliem, kilkoma członkami Klubu. Jest też czterech kolegów z Polski, którym wspomniałem wczoraj o możliwości popływania. Przebieramy się w ciasnym staroświeckim domku z wieżyczką i siup do wody. Wokół zaskoczone intruzami łabędzie, gęsi, kaczki. W oddali dachy Londynu. Dla mnie dzisiejsze pływanie jest ważnym wydarzeniem. Bywałem w Hyde Parku dziesiątki razy, ale do tego prestiżowego środowiska nigdy nie dotarłem. Nobliwy Klub liczy sto pięćdziesiąt lat. Wspólne fotografie. Gorąca herbata. Uściski na pożegnanie.



Na terenie Serpentine Swimming Club w londyńskim Hyde Parku.

Szybkim krokiem do metra. Na stacji Westminster spotykamy grupę pod kierownictwem Małgosi. Z Westminster Bridge pstrykamy zdjęcia na gmach Parlamentu, na Big Bena, na Tamizę. Rafał z Magdą, z powodu zbyt długiej kolejki, zrezygnowali z przejażdżki diabelskim młynem „London Eye” (Londyńskie Oko). Stajemy przed wejściem do House of Commons (Izby Gmin), a następnie do House



Na Parliament Square, przed Brytyjskim Parlamentem. Za nami wieża zegarowa - słynny Big Ben i Izba Gmin.



Fragment zmiany warty honorowej przed Pałacem Buckingham. Londyn świętuje Nowy Chiński Rok.

of Lords. Wszędzie betonowe zapory. Chwila odpoczynku przed wejściem do Westminster Abbey (Opactwa Westminsterskiego). Nie mamy czasu by zajrzeć do wnętrza, choć świątynia należy do najważniejszych brytyjskich obiektów m.in. jest miejscem koronacji (poczynając od Wilhelma Zdobywcy) i pochówku brytyjskich monarchów. Przechodzimy na plac przed parlamentem (Parliament Sq.). Mijamy pomniki Nelsona Mandeli, Mahatmy Gandhiego, Winstona Churchilla. W pobliżu gra donośnie szkocki kobziarz. Szkocka krata, kilt. Podążamy ulicą Whitehall mijając m.in. Ministerstwo Spraw Zagranicznych, Ministerstwo Obrony, Skarbu, liczne pomniki – wśród nich,



pośrodku promenady, pomnik dedykowany Kobietom II Wojny Światowej. Stajemy przed Downing Street, gdzie pod numerem 10 znajduje się siedziba brytyjskich premierów. Skręcamy przy budynku straży konnej (Horse Guards), kierując się do Pałacu Buckingham. Nagle zauważamy brak Ewy i Beaty. Telefon odbiera Wiesio. Obie dzielne koleżanki są po chwili z nami. Co by zrobiły, nie posiadając naszych numerów telefonów!? W alei The Mall spotykamy paradę wojów w zgrzebnych strojach epoki. Tłumy turystów zmierzają w kierunku Pałacu Buckingham. Spoglądam na zegarek. Za 45 minut paradna niedzielna zmiana warty. Obejrzymy pierwszy jej fragment. Czas na powrót. Na Trafalgar Sq. tłumy takie, że nie sposób przejść. Trwa świętowanie Nowego Chińskiego Roku (27 stycznia). Myślę o mojej zakończonej kilka dni temu wyprawie do Chin, gdzie napotykalismy stawiane dekoracje, związane ze zbliżającym się Nowym Rokiem. Jak nasz świat się zmniejszył. Poza Trafalgar Sq. mijamy samodzielne pawilony Hongkongu i Tajwanu. Na plakatach twarze chińskich dysydentów. Na Leicester Square dajemy sobie godzinę wolnego. Wskazuję miejsce zbiórki. Czas na posiłek, na upominki. Idę w stronę Soho i China Town, ale po chwili zawracam. Wszędzie zwarty tłum. Wśród wielojęzycznego gwaru, ale w samotności, myślę przez chwilę o „moim” ukochanym Londynie. Dostrzegam restaurację z „fish and chips”. Dołączam do Joli i Rajmunda. Świetne zakończenie wyprawy. Metrem wracamy do „siebie”. Jeszcze chwila skupienia w katedrze św. Pawła. Zapalam świeczkę, za rodzinę, za londyńskich przyjaciół. Bagaże taszczy my na stację St. Paul's. Dręczy mnie kwestia, czy nasze „ojsterki” nie będą wymagały dodatkowego doładowania po ostatnim przejeździe metrem. Najniższa stawka wynosi 5 funtów. Uff, wszyscy przechodzą przez bramkę na Liverpool Station. Mżawka. Z Wiesiem udajemy się na poszukiwanie przystanku London Express do Stansted. Pracowniczką obsługującą przystanek okazuje się Polka. Ustawiamy się w kolejce. Mamy wykupione bilety na 15.00. Z niewielkim opóźnieniem ruszamy na lotnisko. Około 17.00 jesteśmy na miejscu. Kontrola bagażu. Uspakajamy jak możemy Zuzię, której rozbebeszono misternie zapakowaną walizkę. Z kolei Janusz ma trudności z przekroczeniem bramki „check-in”. Po kilkunastu nieudanych próbach, kontrolerka sprawdza bilet i ręcznie otwiera mu bramkę. A więc i taki kłopot może się przytrafić. Mamy sporo ponad godzinę czasu. Znajdujemy miejsce do złożenia bagażu i odpoczynek. Spoglądamy na tablicę odlotów i numer stanowiska „departure”. Wraz z Magdą, Sławką, Jarkiem i Rafałem raczymy się piwem, ja „Stellą Artois”, koledzy irlandzkim Guinnessem. Odlot. Całą trasę siedzę obok Ani. Podsumowujemy wyprawę, rozmawiamy o czekających nas zawodach Pirtita Open 2017 w Tallinie, 3-4 marca. Wracam do Sopotu wraz z Grażyną i Januszem. W domu o 23.00. O 5.00 rano pobudka i wyjazd do Warszawy.

*Ewie, Grażynie i Wiesiowi dziękuję za udostępnienie fotografii.*

Jacek Starościak

Niedziela, 12 lutego 2017 roku